

KULTURA

ZAWSZE DEMARCZYK

Uparta i świadoma siebie indywidualistka
nie odnalazła się w świecie,
który przykrawa wszystkich do modelu
międzynarodowej gwiazdy.
Za wielka na swoje czasy.

TOMASZ FIAŁKOWSKI

Pamięci mojego brata Krzysztofa

■ **POCZĄTEK MAJA 1976**, sala krakowskiego Teatru Kameralnego przy Starowiślniej (wtedy Bohaterów Stalingradu) zatłoczona po brzegi, zajęto nawet stopnie prowadzące ku scenie. Powoli gaśnie światło, zamiera gwar. Nagle ciszę i ciemność rozrywa budząca dreszcz wokaliza, a reflektor wydobywa postać, która niepostrzeżenie wyszła zza kulis. Szczupła, czarnowłosa kobieta w czarnej połyskującej sukni zaczyna śpiewać jeden z najpiękniejszych późnych wierszy Bolesława Leśmiana – „Jam – nie Osjan!...”.

To wyznanie śpiewaka, który krył się pod cudzym imieniem, „tarczą złudy

obronny”, ale kiedy porażony smutkiem zwrócił się do Boga, usłyszał zdumiewające słowa: „Jam – nie Bóg! Twarzy mojej spragniony zatruty, / Maskę Boga przywdziałem, zdradziecko pokrewną, / I za niego stworzyłem bezrozumne światy, / Tak, jak on by je stworzył...”. Opowieść o maskach, o samotności, o niezrozumieniu, na które jesteśmy skazani.

„Nikt się nigdy nie dowie, czym byłem dla siebie” mówią obaj, Osjan – nie Osjan i Bóg – nie Bóg. Nigdy się nie dowiemy, dlaczego Ewa Demarczyk 20 lat temu ukryła się przed światem, a wcześniej zerwała niemal wszystkie z nim kontakty. To znaczy trochę wiemy, choć nie będę tu przypominał żenującej dla władz mojego

miasta historii końca teatru wielkiej, zapewne największej polskiej pieśniarki. Pozostaje jednak tajemnica żalu, który w sobie nosiła, poczucia krzywdy i zdrady.

– Najbardziej mnie dziś boli ten jej żal do świata, i to, że nie potrafię go zrozumieć – mówi dziś Joanna Olczak-Ronikier, współtwórczyni Piwnicy pod Baranami i pisarka, kiedyś bliska przyjaciółka Ewy. – Pamiętam ją jako młodą, piękną dziewczynę, pełną radości i energii, otwartą wobec innych i uwielbianą przez publiczność, zupełnie jednak pozbawioną manier gwiazdy. Nie była posagowym Czarnym Aniołem! Zobaczyłam ją po raz pierwszy, kiedy pojawiła się w naszym kabarecie...



LESZEK ŁOŻYŃSKI / REPORTER

Ewa Demarczyk w Piwnicy pod Baranami, Kraków, 1963 r.

■ **24 CZERWCA 1962**, tym razem nie piwnica w pałacu Potockich przy Rynku, ale klubowo-stołówkowa sala Domu Literatów przy Krupniczej 22. Kabaret wyrzucony został ze swojej siedziby, przygarnęli go pisarze. Nad salą mieszka Hanna Mortkowicz-Olczakowa, wielbicielka Piwnicy. Jej córka Joanna przeniosła się do Warszawy z mężem, niemieckim dziennikarzem Ludwigiem Zimmererem, ale regularnie bywa w Krakowie. Jest i tym razem, gdy w programie „Siedem dziewcząt pod bronią, czyli Boże, zachowaj Franciszka” występuje po raz pierwszy Ewa Demarczyk.

– Nie miała jeszcze swojego repertuaru, piosenki „Kupcie szczeniaka!”,

którą śpiewała wcześniej w kabarecie studentów Akademii Medycznej Cyrylik, Piotr Skrzynecki nie chciał. Zaczęła od brawurowo wykonanej „Rebeki”, potem był, o ile pamiętam, inny przedwojenny szlagier: „Puchowy śniegu tren”... Była olśniewająca! – mówi Joanna Olczak-Ronikier.

„Rebekę”, z tekstem Andrzeja Własta (Gustawa Baumrittera) i muzyką Zygmunta Białostockiego – obaj zginęli w getcie warszawskim – usłyszę na żywo kilkakrotnie. Ze starego szlagieru Ewa Demarczyk zrobiła dwuaktowy dramat o młodej Żydówce z małego miasteczka, którą najpierw uskrzydla miłość, a potem pogrąża w rozpacz świadomość, że

to miłość niemożliwa. „Puchowy śniegu tren” (słowa także Własta), zaśpiewany bardziej pastiszowo, to rzecz o bogatym paniczu, który wykorzystał i porzucił na mrozie biedną dziewczynę.

Piosenkę nadawano niegdyś w radio, ale nie ma jej na żadnej płycie. Nigdzie też nie można znaleźć – ten refren będzie się powtarzał! – wspomnianego wcześniej, genialnego „Osjana” z muzyką Zygmunta Koniecznego.

Pojawienie się Ewy Demarczyk w Piwnicy to właśnie początek jej współpracy z Koniecznym. Kompozytor postanawia jej dać „Czarne anioły” ze słowami Wiesława Dymnego; miała tę piosenkę zaśpiewać pierwsza piwniczna ➔

→ gwiazda i partnerka Dymnego, Barbara Nawratowicz. Wedle relacji Koniecznego swojej decyzji o mało nie przypłacił kalectwem: Nawratowicz weszła do sali na Krupniczej podczas próby i próbowała zatrzaskać wieko fortepianu na jego palcach. Ona – a po wielu latach emigracji wróciła do Krakowa – pamięta tę scenę inaczej, ale *se non è vero...*

No i dwa utwory bodaj najważniejsze, oba do słów Tuwima: „Grande Valse Brillante” (fragment „Kwiatów polskich”) i „Tomaszów”. Skomponowane dla Mieczysława Świąćckiego, bo to przecież monolog mężczyzny.

– To ja – przyznaje Joanna Olczak-Ronikier – dokonałam barbarzyńskiego czynu i przerobiłam oba teksty, by mogła je zaśpiewać kobieta. Wybuchł skandal, protestowała Stefania Tuwimowa, Zygmuntowi chciano wytoczyć proces o naruszenie praw autorskich, oburzał się Jerzy Ficowski. Dziś o tym nikt nie pamięta...

Wtedy też zachwyt przeważał nad zgorszeniem. Sukces na pierwszym festiwalu w Opolu (1963), rok później w Sopocie. „Zachwyciła mnie – pisała 13 sierpnia 1964 r. w dzienniku Maria Dąbrowska po obejrzeniu transmisji z Sopotu, gdzie Demarczyk zaśpiewała właśnie „Grande Valse...”. – I jest przepyszną indywidualnością piosenkarską – z dobrym głosem, pełną ekspresji twarzą, bezbłędną gestykulacją. Słuchało się jej z pasją i z pasją też śpiewała”.

A ja porównuję nagranie z Sopotu z tym, co sam kilkakrotnie słyszałem na żywo. I mam wrażenie, że ta niezwykła piosenka, która najpierw była triumfalnym wyzwaniem rzuconym mężczyźnie przez młodą, świadomą swojej urody kobietę, w późnych latach stawała się coraz bardziej gorzką skargą na przemijanie.

■ **ROK 1967, CZARNY ALBUM**, czyli „Ewa Demarczyk śpiewa piosenki Zygmunta Koniecznego”. „Kto wie, czy nie najważniejsza płyta w dziejach kultury inteligentkiej w PRL. Ewie Demarczyk dała nieśmiertelność za życia, a nam milion wzruszeń. Więc przyjmijmy, którzyśmy na czarnym albumie się wychowali, że nie umarła” – napisał kilka dni temu na Facebooku Piotr Paziński. Kiedy ten album się ukazał, Piotra nie było jeszcze na świecie, a ja miałem 11 lat i słuchałem tej płyty dzięki starszemu o 11 lat bratu.

Podkreślam różnice wieku, bo miłość do Ewy Demarczyk łączyła i łączy poko-

W 1986 r. powstanie Teatr Ewy Demarczyk, który pod koniec lat 90. zakończy definitywnie istnienie.

A rozgoryczona artystka
coraz bardziej wycofywać się będzie ze świata.

lenia. Od Dąbrowskiej, Władysława Tarkiewicza, Stefana Kisielewskiego i Jerzego Turowicza, po dzisiejszych trzydziesto- i czterdziestolatków. I rzeczywiście stanowi ważny, bo wciąż żywy fragment naszej przeszłości. Kazimierz Wyka, najpierw sceptyczny wobec pomysłu, by śpiewać wiersze Baczyńskiego, po wysłuchaniu „Wierszy wojennych” wysłał do Ewy Demarczyk telegram z jednym słowem: „Przepraszam”.

„Czy piosenkarstwo jest sztuką przez wielkie »S«, tak jak wielki pisarz czy wielkie dyrygentstwo?” – zastanawiał się w 1967 r. Kisiel, zachwycony zarówno Ewą Demarczyk, jak i Koniecznym oraz całym „piwnicznym” klimatem. W tym samym roku na recitalu Demarczyk był Jerzy Zawieyski – pisarz, współpracownik „Tygodnika”, poseł koła Znak, który wkrótce, wiosną ’68, miał dramatycznie zakończyć karierę polityczną. Zawieyski – co należy dodać, również człowiek teatru, przed wojną występujący na scenie – pisze w dzienniku: „Wieczór niezapomniany. Demarczyk recytuje i śpiewa, a właściwie gra poematy, wiersze trudne, piękne, z oryginalną muzyką. Jest to właściwie gra aktorska najwyższej klasy. Wielka sztuka. Edith Piaf to genialna, plebejska, podwórzowa pieśniarka! Demarczyk jest wyrafinowana, lecz równocześnie pełna prostoty, klarowności, zdumiewającej siły dramatycznej. Dawno nie widziałem tak olśniewającego aktorstwa!”.

Trzy lata wcześniej Jan Józef Szczepański zaprowadził do Piwnicy pod Baranami swojego kuzyna-emigranta Witolda Kuncewicz, syna pisarki Marii – „co było większą atrakcją dla nas niż dla niego”, komentuje ironicznie. I dalej głosi pochwałę cyganerii, by przenikliwie spuentować: „Kiedyś w przyszłości

to będzie epoka kulturalnej historii – Kraków Koniecznego, Skrzynckiego, Ewy Demarczyk, jak był Kraków Sichulskiego i Boya. Tylko że ci mają ostrzejszą świadomość przemijania... umieją zadbać o to, żeby wspomnienie po nich, nawet jeśli musi trącić staroświecczością, nie zabarwiło się rozlazłą rzewnością”.

■ **NOWA EDITH PIAF?** Często się powtarza, że kimś takim miała zostać Ewa Demarczyk dzięki zaproszeniu sławnego francuskiego impresaria Bruno Coquatrixa, właściciela paryskiej Olympii, i że z niejasnych do końca przyczyn tę szansę straciła. Czy to jednak rzeczywiście była szansa i czy – pomijając już kwestie języka – uparta i świadoma siebie indywidualistka odnalazłaby się w świecie, który z pewnością chciałby ją sformatować, przykroić do modelu popularnej międzynarodowej gwiazdy? Rację miał raczej Zawieyski, podkreślając różnice między Demarczyk a Piaf.

Poza tym – trudno mówić o braku sukcesu artystki, która objechała niemal wszystkie kraje Europy, występowała w USA i Brazylii, na Kubie była uwielbiana i jako gość specjalny występowała na wielu zagranicznych festiwalach. Śpiewała nie tylko po niemiecku, ale też po francusku, hiszpańsku i angielsku. Jej rosyjska płyta (1975) miała pierwszy nakład w wysokości 2 milionów egzemplarzy, łącznie zaś sprzedano 17 milionów...

„Koncert w moskiewskim Związku Literatów był jednym z największych przeżyć w moim życiu” – mówiła w 1974 r. Józefowi Opalskiemu. Wcale się temu nie dziwię, słuchając płyty Mielodii. Ewa Demarczyk śpiewa na niej po rosyjsku „Grande Valse...”, „Tomaszów” oraz „Groszki i róże”, a po polsku – świetnie przełożone (przez m.in. Jerzego Pomianowskiego i Wiktora Woroszyńskiego) wiersze dwojga wielkich, prześladowanych i długo wyklętych we własnej ojczyźnie rosyjskich poetów, Osipa Mandelsztama („Cyganka” i „Skrzypek Hercowicz”) i Mariny Cwietajewej („Imię twe”). W repertuarze miała też Annę Achmatową i kolejne utwory Cwietajewej, w tym śpiewany w oryginale wiersz „Babuni”, poświęcony babce poetki – Polce.

Muzykę do rosyjskich wierszy skomponował Andrzej Zarycki, który z Demarczyk zaczął współpracować w roku 1966 i pracowali razem ponad 20 lat. „Słuchając każdego wykonania tej piosenki

– pisał o „Cygance” Mandelsztama/Pomianowskiego/Zaryckiego Józef Opalski – odnosi się wrażenie, że Ewa chce przekazać całą swą miłość do tego cudownego wiersza. Utwór śpiewany już od kilku lat, z każdym nowym wykonaniem zyskuje na głębi i wyrazie”.

Bo też zarówno poszczególne utwory, jak i całe koncerty były właściwie spektaklami teatralnymi. Ewa Demarczyk ukończyła zresztą krakowską szkołę teatralną, choć zagrała chyba tylko w spektaklu dyplomowym (w filmie Jerzego Skolimowskiego „Bariera” z muzyką Krzysztofa Komedy jest jedynie – i aż! – jej głos). „Nie była bezwolnym narzędziem w rękach kompozytorów i aranżerów – pisze dziś Dorota Kozińska. – Konsekwentnie tworzyła teatr własny i osobny – jednej śpiewającej aktorki. Kiedy straciła tę możliwość, odsunęła się od ludzi... Tuwim, Leśmian i Mandelsztam w kilku wierszach przemawiają już tylko jej głosem. Tylko Demarczyk czaszki białe toczy przez płonące łąki krwi, kiedy nadchodzi rocznica śmierci Baczyńskiego”. Wspaniałe „theatrum mundi”, jak nazywał to Opalski.

■ **LUDWIG ZIMMERER**, niemiecki dziennikarz, przyjechał do Polski w 1956 r. i został w niej na zawsze. Był korespondentem „Die Welt”, później zachodnioniemieckiego radia. Stworzył wspaniałą, niestety rozproszoną po jego śmierci w 1987 r. kolekcję polskiej sztuki tzw. „naiwnej”, tłumaczył na niemiecki Mrożka. Przez długi czas był jedynym mieszkającym w Polsce dziennikarzem z Republiki Federalnej Niemiec. Znajdował się pod baczna obserwacją polskich służb, zwłaszcza że układ normalizujący stosunki między obu krajami podpisano dopiero w grudniu 1970 r.

Z Joanną Olczakówną pobrali się w 1959 r. Ich dom na Saskiej Kępie stał się wkrótce ośrodkiem życia nie tylko towarzyskiego. Jerzy Turowicz i Klaus von Bismarck zamykali się w łazience i odkreślali krany, by móc bezpiecznie porozmawiać np. o słynnym Liście biskupów polskich do biskupów niemieckich... Ewa Demarczyk zatrzymywała się u Zimmererów, wyjeżdżając na kolejne zagraniczne występy, a Ludwig wyszukiwał dla niej wiersze, które mogłyby zaśpiewać w Niemczech, potem ćwiczył z nią wymowę. Stąd utwory tak wspaniałe jak „Nähe des Geliebten” ze słowami Go-

ethego (komponując muzykę Andrzej Zarycki miał niezłych poprzedników, wśród nich Schuberta) czy „Musik in Mirabell” ze słowami Austriaka Georga Trakla.

– Któregoś dnia – wspomina Joanna Olczak-Ronikier – Ewa powiedziała mi, że jest jej bardzo przykro, ale nie będzie już u nas mieszkać i ograniczy swoje wizyty. Smutni panowie wezwali ją na rozmowę i zażądali, by zdawała relację z każdego pobytu u Zimmererów: kto ich odwiedza, o czym się rozmawia i tak dalej. Odmówiła, ale w obawie przed utratą paszportu zdecydowała, że woli po prostu unikać pretekstu do szantażu. Co jednak najważniejsze – powiedziała mi o tym wprost. Poza nią nikt tego nie zrobił, a przecież nie ją jedną o nas wypytywano...

Katarzyna Zimmerer, córka Joanny i Ludwiga, pracuje nad książką o ojcu.

Przeglądała teczkę, które założyło mu SB – w archiwum IPN w Wieliczce jest ich kilkadziesiąt. Znalazła sprawozdania z trzech rozmów przeprowadzonych z Ewą Demarczyk. Sprawozdanie trzecie jest krótkie: autor proponuje, by zrezygnować z dalszych prób pozyskania jej współpracy, bo konsekwentnie odmawia i „nie rokuje”...

I jeszcze historia z książki Joanny Olczak-Ronikier o Piwnicy, opowiedziana przez Marię Orwid, profesor psychiatrii i wielką przyjaciółkę pieśniarki. „Ewa była zawsze bardzo suwerenna. Pamiętam, jak z okazji jakiegoś późnogomułkowskiego zjazdu zaprosili ją do udziału w uroczystym koncercie, który miał kończyć obrady. Ewa odmówiła. Odbyły się długie narady z mecenasem Karolem Buczyńskim [on, jego żona Ruth, →



JOANNA HELANDER

Ewa Demarczyk, Szwecja, lata 70.

→ również adwokatka, i jego córka Maria byli wiernymi przyjaciółmi Piwnicy], jak umotywić odmowę, by nie wynikało zbyt wiele przykrości. Próbowalam ją przekonać konformistycznie: Nie chcą przecież od ciebie nic złego. Chcą, żebyś wykonywała swój zawód. A ona na to: Nie mogę dla nich śpiewać. Nie wiem, co oni tam uchwalą”.

■ **KIEDY PRZYSZEDŁ MARZEC 1968**, Ewa Demarczyk śpiewała w Piwnicy „Psalmy Dawidowe” z muzyką Stanisława Radwana. „Pamiętam – wspominała Maria Orwid, Żydówka ocalona z Zagłady – jak różne szuje wołały wtedy, że Ewa, śpiewając Psalmy, ostentacyjnie manifestuje swoją żydowskość. Przyjaciele, chcąc jej oszczędzić przykrości, namawiali: Zdementuj to. A ona odpowiadała: Nie mogę. Nie chcę. To nie ich sprawa, kim jestem, a kim nie jestem, co śpiewam i dlaczego śpiewam”.

Święta księga Żydów i chrześcijan nie była w Marcu i jeszcze długo po nim dobrze widziana. W grudniu 1971 r. Jan Józef Szczepański po wizycie Stanisława Lema notował: „Ewa Demarczyk mówiła mu, że nie pozwalają jej występować w radio i telewizji z »Pieśnią nad pieśniami«. I znów ten refren – nie ma... Kawaleczek „Psalmy” można zobaczyć w Polskiej Kronice Filmowej. „Pieśń...” z muzyką Zaryckiego, nagrana w Brukseli, jest na YouTube. Obu utworów nie ma na żadnej płycie

Lata 70. to czas zmian. Ewa Demarczyk odchodzi z Piwnicy pod Baranami. Napisany dla niej „Tryptyk” Zygmunta Koniecznego – ambitne dzieło na kanwie tekstów Pierre’a Louÿsa, Brunona Schulza i Jules’a Micheleta – nie doczeka się wystawienia, pieśniarka uzna, że partytura przekracza jej możliwości wokalne. Nie przyjmie też propozycji, by w inscenizacji „Nocy listopadowej” przygotowanej przez Andrzeja Wajdę, z muzyką Koniecznego, zagrać – a właściwie

zaśpiewać – rolę Pallas Ateny (zrobi to Barbara Bosak).

Zaśpiewa natomiast wspaniałe „Kaiserlied”, hymn c.k. Austrii („Boże, ochroń, Boże, wspieraj”) podczas zorganizowanego przez Piwnicę „Jubileuszu 149-lecia Zawodu Pisarskiego Józefa Ignacego Kraszewskiego”. Ta rekonstrukcja prawdziwego wydarzenia przerodzi się w niezwykle happening z udziałem najszacowniejszych postaci Krakowa i stolicy, ale – znów! – z występu Ewy Demarczyk zachował się ledwie urywek

Koncert w warszawskim Teatrze Żydowskim w 1979 r. zostanie nagrany na płytę – i będzie to płyta ostatnia. Potem Piotr Skrzynecki przestanie prowadzić konferansjerkę podczas jej recitali. W 1986 r. powstanie Teatr Ewy Demarczyk, który pod koniec lat 90. zakończy definitywnie istnienie. A rozgoryczona artystka coraz bardziej wycofywać się będzie ze świata.

Wspomina Joanna Olczak-Ronikier: – Kiedy pisałam moją książkę o Piwnicy, wydaną w 1994 roku, bardzo chciałam umieścić tam wspomnienia Ewy. Odbierała wtedy jeszcze telefony, ale zdecydowanie odmówiła – to przeszłość, o której mogłaby mówić tylko źle. W książce zajęła należne miejsce, ale widziana oczami innych. Ostatnia moja z nią rozmowa odbyła się dwa lata później. Przygotowywano koncert w Teatrze Słowackiego na 40-lecie kabaretu, miał się na nim pojawić Piotr Skrzynecki, bardzo już wtedy chory. Wiedzieliśmy, że zależy mu na obecności Ewy. Też odmówiła.

A ja pamiętam ostatni jej recital, na którym byłem: czerwiec 1998, Kraków, Teatr Bagatela, Festiwal Kultury Żydowskiej. Przejmujące doświadczenie – przez pierwszą połowę Ewa Demarczyk miała wyraźne kłopoty z głosem, ze ściśniętym sercem słuchałem okaleczonych piosek, które tak kochałem. W połowie coś się przełamało, wróciła na chwilę tamta artystka. Wychodziliśmy jednak poruszeni i smutni – może nie chcielibyśmy tego słyszeć? I tylko nasz czeski przyjaciel z Ołomuńca, Vaszek Burian, słuchając naszych marudzeń nieśmiało nam przerwał: – Ale ja słyszałem ją po raz pierwszy na żywo i mnie się bardzo podobało...

■ **NA KONIEC BEZ DATY**. Nie pamiętam, na ilu koncertach Ewy Demarczyk byłem – sześciu? ośmiu? Pamiętam, owszem, wszystkie piosenki, które śpiewała, pa-

mietam, jak niektóre się zmieniały. Pamiętam, jak „Taki pejzaż” – Kisiel napisał, że to „jedno wielkie, zadziwiające crescendo” – skomponowany przez Koniecznego do wiersza niesłusznie zapomnianego Andrzeja Szmidta, stopniowo się wydłużał (na czarnym albumie trwa 6 minut, potem ten czas niemal się podwajał) i nabierał demonizmu stosownie do słów („Psy kulawe / stroją drogi / diabeł dziewczkom / płacze nogi”). Finał sprawiał wrażenie, jakby do teatru wtargnął huragan. Pamiętam wspaniałego „Don Juana” (Zarycki do wiersza Mariny Cwietajewej) – nie ma go, podobnie jak „Osjana”, nigdzie, nie tylko na płytach, ale i na YouTube.

Nie pamiętam też kolejności utworów, wiem tylko, jak zmieniał się klimat spektaklu, jak po fragmentach niesłuchanie dramatycznych i po niesamowitych partiach wokalnych następowały kawałki liryczne. Albo zgoła lżejsze, jak pierwsza kompozycja Andrzeja Zaryckiego dla Ewy Demarczyk, „Ballada o cudownych narodzinach Bolesława Krzywoustego” wedle Galla Anonima. To zdumiewające i cudowne połączenie rockowych właściwości rytmów ze średniowiecznymi rytmami (przełożonymi z łaciny przez Romana Grodeckiego) służyło później, gdy już Demarczyk rozstała się z Piotrem Skrzyneckim i konferansjerki podczas jej koncertów w ogóle nie było, bezsłownemu przedstawieniu muzyków. Solistka wskazywała ich kolejno i każdy odgrywał jedną strofę „Ballady” na swoim instrumencie.

Na finał czasem wszyscy śpiewali jeden z piwnicznych hymnów, czyli „Dezyderatę”. Najmocniej jednak zapamiętałem finał inny: muzycy stopniowo schodzą ze sceny, zostaje tylko pieśniarka i bez akompaniamentu – ktoś tylko w tle wystukuje rytm na pudle gitary – wykonuje po hiszpańsku, z muzyką Zaryckiego, wiersz wielkiego poety afrokubańskiego Nicolása Guilléna „Palma sola”. Wiersz o samotnej palmie rosnącej w patio; o samotności.

Niech i tutaj jego zakończenie w przekładzie Jana Zycha będzie finałem: „Palma samotna marząca, / palma samotna, / że wolna idzie z wiatrem, / wolna i samotna, / wyzwolona z korzeni i z ziemi, / wyzwolona i samotna, / łowczyni chmur przelotnych, / palma samotna, / palma samotna, / palma”.

©® TOMASZ FIAŁKOWSKI